Pierwsza miłość

Roza Berger. — Szulamit z Pieśni nad pieśniami. — Chaim Fruchsztejn — groźny rywal. — Skrzypiące sztyblety i język francuski. Gra na skrzypcach. Rozkoszne marzenia.

Gdyby Szołem nie spotykał się z nią często w późniejszych latach swego życia, gotów byłby przysiąc, że ta, która go w wieku 14 lat oczarowała i podbiła, była tylko wytworem jego wybujałej wyobraźni. Roza było jej na imię. Szołem nigdy nie zauważył, aby przechadzała się sama po mieście. Zawsze była w otoczeniu licznych kawalerów. Zawsze w gronie młodzieńców, i to z najbogatszych i najznakomitszych rodzin żydowskich. Przebywała też w towarzystwie chrześcijan. Bywała i w towarzystwie oficerów. Rosyjski oficer spaceruje z Żydówką. Słyszeliście? Sam fakt takiego spaceru stanowił już wielką sensację. W mieście wrzało, kipiało, gotowało się. Nie każda młoda Żydówka mogła sobie na to pozwolić. Nie każdej Żydówce miasto skłonne to było wybaczyć. Jedna tylko Roza mogła sobie na to pozwolić. I jednej tylko Rozie miasto skłonne było wybaczyć. Na to była Rozą. Ona bowiem była jedyną w mieście osobą, która grała na pianinie. Ona jedna mówiła po francusku. Głośno mówiła i głośno śmiała się. Słowem Roza, to nie byle kto. Jest panną z najlepszego domu. Jej ojciec to jeden z najbogatszych i najznakomitszych Żydów w mieście. To arystokrata pełną gębą. W młodości, opowiadają ludzie — wbrew przepisom zakonu golił się. Dziś to już stary, osiwiały człowiek. Dziś nosi brodę, okulary, a pod oczyma zwisają mu worki. Podobne worki ma i Roza. Odziedziczyła je po nim. Trzeba przyznać, że jest jej z tymi workami pod niebieskimi oczami do twarzy. Wraz z jej jedwabnymi, łukowatymi brwiami, żydowsko-greckim noskiem i jasnobiałą cerą, stanowiły jakąś harmonijną całość. Pasują również jak ulał do jej pełnej majestatu figury, która podbiła serce obiecującego, ciekawego i wiecznie marzącego chłopca „chederowego”, Szolema, syna Nachuma. Od pierwszego spojrzenia jej cudownych oczu Szołem zakochał się na zabój. Pokochał tę Szulamit pierwszą, płomienną i świętą miłością czternastoletniego, niewinnego chłopca.

Tak! To Szulamit. Tylko Szulamit z Pieśni nad Pieśniami posiada takie piękne, takie boskie oczy. Tylko Szulamit z Pieśni nad Pieśniami potrafi swoim spojrzeniem tak słodko i miłośnie, tak trwale i głęboko wedrzeć się w serce. Mogę was, drodzy czytelnicy zapewnić, że na Szolema

spojrzała tylko raz jeden. No, może najwyżej dwa. I to mimochodem, pewnego sobotniego dnia, na jednej z ulic miasta. Właśnie odbywała spacer w otoczeniu całej watahy kawalerów. Wśród nich był pewien szczęściarz z imienia i nazwiska — Chaim Fruchsztejn.

Chaim to synalek Josy Fruchsztejna. Jedynaczek o krótkich nogach. Chciałem powiedzieć — o bardzo krótkich nogach. Za to nos miał szczególnie długi. A na nim czerwone... „porzeczki".

Zęby miał duże. Rzekłbym, przeraźliwie duże. Ubierał się jak prawdziwy dandys. Jak stuprocentowy modniś. Obcasy wysokie. Nawet bardzo wysokie. Chciał uchodzić za wyższego, niż był. Kamizelka biała, jak śnieg. Włosy na gładko zaczesane. W środku przedziałek. Nasiąknięty jak gąbka perfumami. Zapach przeróżnych kremów, wód kolońskich i innych pachnideł bił od niego na kilometr. I ten to Chaim był najszczęśliwszy spośród wszystkich adoratorów Rozy. Jego właśnie uznało miasto za narzeczonego Rozy. Na jego głowę włożyło koronę oblubieńca Rozy. Włożyło zaś koronę dlatego, że był synem Josy Fruchsztejna. A Jose Fruchsztejn to bogacz. Bogacz zaś z bogaczem to równi partnerzy. Zwłaszcza, gdy chodzi o związek małżeński. Poza tym Chaim był jedynym na cały Perejsław młodzieńcem, który mówił po francusku. On mówił po francusku i Roza mówiła po francusku. Czy mogła być wobec tego lepsza para? I jeszcze jedno. Ona grała na pianinie, a on na skrzypcach. I gdy we dwoje grają, to zostaw człowieku wszystko, co posiadasz i wal bez namysłu pod ich okno. Warto, doprawdy, całą noc przestać na nogach, aby posłuchać, jak to oni grają.

Szołem nieraz w letnie wieczory stał pod oknem Rozy i słuchał boskich melodii, wydobywanych jej ślicznymi palcami, spod czarno-białych klawiszy czarnego, błyszczącego fortepianu. Słuchał też niebiańskich dźwięków, które Chaim Fruchsztejn wyciągał z delikatnych strun swoich małych skrzypiec. Tylko „ach" i tylko „och"! Możecie sobie wyobrazić, co Szołem wtedy przeżywał. Rozpływał się ze szczęścia i jednocześnie zagryzał ze zmartwienia. Błogosławił i przeklinał jednocześnie. Rozkoszował się muzyką niebiańską i cierpiał, że to nie on gra z Rozą, lecz ktoś inny. Błogosławił ręce, które potrafią wydobyć z martwych instrumentów takie słodkie, niebiańskie dźwięki i takie nieziemskie, anielskie melodie. Przeklinał dzień, w którym przyszedł na świat, w rodzinie Rabinowiczów, a nie Fruch- sztejnów. Klął, na czym świat stoi, za to, że Chaim Fruchsztejn jest synem bogacza, a on, niestety, synem biedaków. On nie mógł doprosić się swoich rodziców, żeby kupili mu lakierowane, skrzypiące sztyblety na wysokich obcasach. Co gorsze, noszone przez niego buty były już mocno sfatygowane. Obcasy poskręcane, zelówki zdarte. A gdyby nawet zdobył się kiedyś na odwagę i powiedział, że chce mieć lakierowane sztyblety, to by usłyszał jedno: „A po co?" A gdyby dodał jeszcze, że chce, aby jego buty skrzypiały, to nie ulega kwestii, że dostałby w twarz.

Jakby to było dobrze, gdyby znalazł się w posiadaniu skarbu. Owego skarbu, o którym jego

wronkowski przyjaciel, sierota Szmulik, tyle pięknych bajek opowiadał. Wszystko to jednak głupstwo. Nie ma żadnego skarbu. To znaczy, że gdzieś tam skarb jest, ale trudno go odnaleźć. Jest głęboko gdzieś schowany. Dotrzesz do niego, a on jeszcze głębiej w ziemię zaryje się. I znowu przeklął Szołem dzień swoich urodzin. Dlaczego urodził się w rodzinie nobliwych Rabinowiczów, a nie bogatych Fruchsztejnów? I jeszcze bardziej znienawidził krótkonogiego Chaima Fruchsztejna o długim, czerwonymi „porzeczkami" upstrzonym, nosie. Znienawidził go skończoną nienawiścią za to, że Bóg obdarzył go trzema wspaniałymi atrybutami: skrzypiącymi sztybletami, znajomością francuskiego i umiejętnością gry na skrzypcach.

I nieszczęsny Szołem dał sobie słowo, co więcej, przysiągł przy świetle księżyca, pod oknem Rozy, w obliczu gwiazd na niebie, przy wtórze dochodzących z okna anielskich dźwięków i niebiańskich melodii, że począwszy od dnia dzisiejszego zacznie się uczyć gry na skrzypcach. Nauczy się tak grać, jak ten szczęściarz Chaim Fruchsztejn. Nie! Swoją grą zapędzi w kozi róg dziesięciu takich Fruchsztejnów. I francuskiego będzie się uczył. Przy bożej pomocy będzie mówił po francusku tak, jak Chaim Fruchsztejn. A być może prześcignie go nawet. I wtedy uda się do domu Rozy. Przemówi do niej słowami Pieśni nad Pieśniami: „Szuwi, szuwi, Szulamit — wróć, wróć Szulamit, spójrz na mnie, posłuchaj, jak gram na skrzypcach". I pociągnie smyczkiem po strunach. Gdy Szulamit-Roza to usłyszy, ze zdziwienia zapyta: „Skąd"? A on odpowie: „Z siebie! Sam się nauczyłem". A stojący tuż obok Chaim Fruchsztejn zdębieje. Zapłonie od zazdrości o Szołema i kierowany tym uczuciem zapewne podejdzie do Rosy, aby powiedzieć jej coś po francusku. Wtedy wtrąci się Szołem. W pół słowa przerwie mu i to po francusku: „Uważaj pan, panie Chaimie na język, którym posługujesz się. Ja rozumiem każde słowo". I Chaim zdębieje wtedy na fest. Roza — zaś Szulamit wstanie z krzesła, weźmie pod ramię Szołema i powie jedno słowo: „Chodźmy". I pójdą wtedy we dwoje na spacer. On i Roza. Po promenadzie Perejsławia. I rozmawiać będą po francusku. A sznur kawalerów z Chaimem Fruchsztejnem na czele będzie postępował za nimi. Ludzie w mieście przystaną i będą zadawać pytania: „Kto to jest ta szczęśliwa parka? Ależ to Roza ze swoim wybrańcem! A któż to jest ten jej wybraniec? Jej wybraniec to mistrz Tanachu z Woronki. To ten znakomity pisarz-kaligraf. Szołem syn Na- chuma. Szołem Rabinowicz". I Szołem to wszystko słyszy. On jednak, jakby nigdy nic, chodzi sobie dalej. Z piękną Rozą pod rączkę. Podziwia jej wspaniałe, niebieskie oczy. Czuje jej wzrok na sobie. Jej oczy skrzą się promieniami uśmiechów. W ręce czuje jej ciepłą dłoń. Słyszy, jak serce bije mu w piersiach. Tik, tak. Tik, tak. A buty na jego nogach nagle zaczynają przemawiać: skrzyp, skrzyp, skrzyp. To już przechodzi jego wyobraźnię. To już graniczy z cudem.

Co się tyczy gry na skrzypcach i konwersacji po francusku, to sprawa jest jasna. Po prostu nauczył się. Tak długo pracował, aż opanował. Co się jednak tyczy butów, sprawa jest dość dziwna. Skąd do butów skrzyp? Czyżby i one same nauczyły się? A może to się tylko jemu tak wydaje? I zaczyna przyciskać buty do ziemi. Naciska i przyciska obu nogami. Mocno, coraz mocniej i nagle dostaje od brata, z którym śpi w jednym łóżku potężnego kuksańca: „Czego wierzgasz nogami jak koń?" Zrywa się. Czyżby to był tylko sen? I nie może już uwolnić się od myśli o tym, co śnił. I nie przestaje śnić na jawie . I przeplata się w nim sen z jawą. Zlewają się

w jedno: fantazja z rzeczywistością. I tak snuje się ta przeplatanka. Nie ma pojęcia, jak długo to trwa. Aż pewnego dnia zawitał do miasta nieoczekiwany gość. Straszny gość. Na imię mu epidemia. Prawdziwa zagłada. Nad miastem jakby rozszalał się huragan. Wszystko się wali. Zostaje wywrócone do góry nogami. Śmierć wkracza do domów, siejąc zniszczenie. Nie ominęła również domu Nachmana Rabinowicza. Poszła wtedy w niepamięć piękna Szulamit-Roza. Ulotniła się miłość do ślicznej dziewczyny. Minęła jak sen. Jak igraszka' wyobraźni. Jak wczorajszy dzień. Tym gościem była cholera.